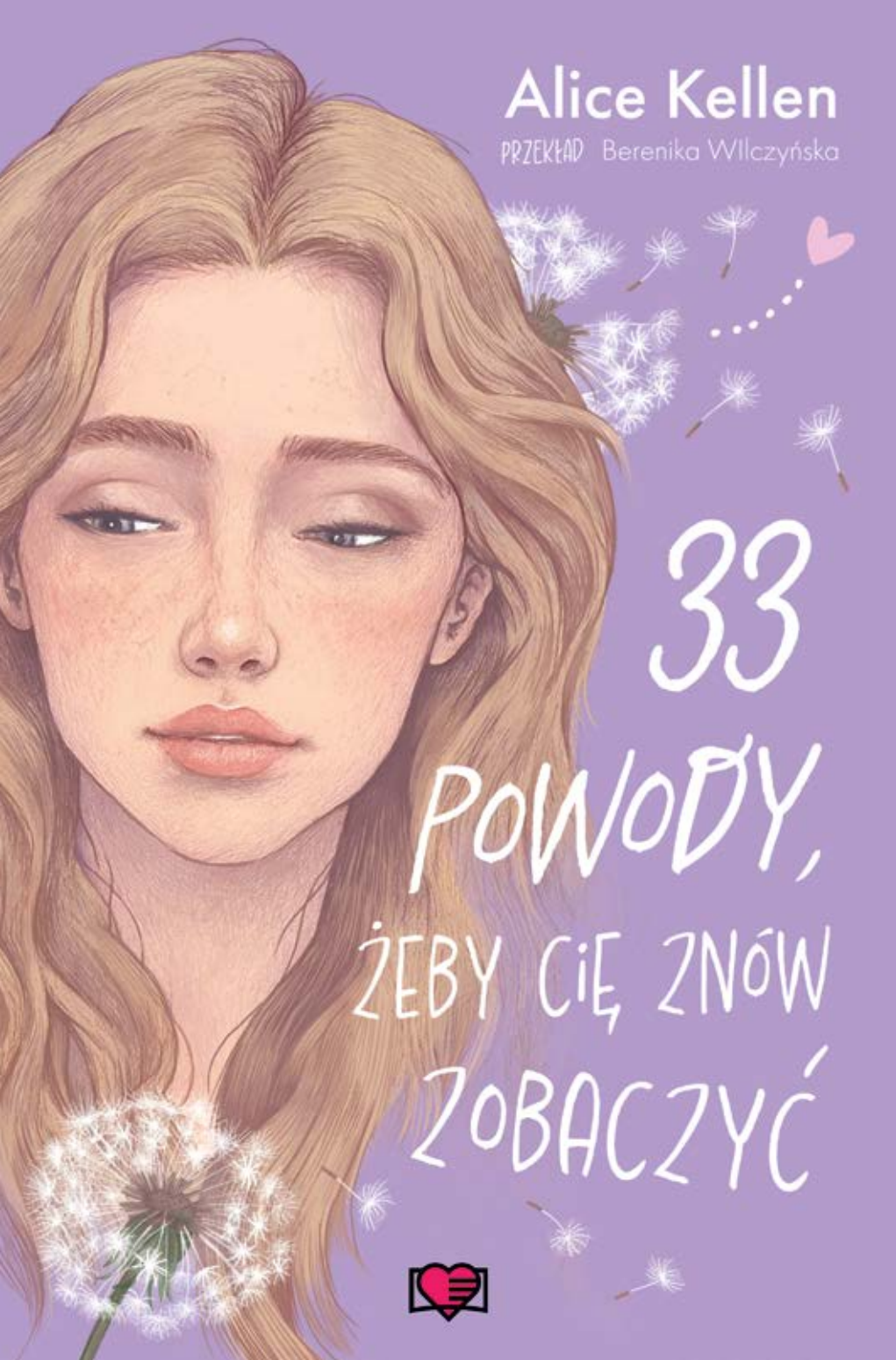
Alice Kellen
PRZEKŁAD Berenika Wilczyńska
33
POWODY,
ŻEBY CIĘ ZNÓW
ZOBACZYĆ

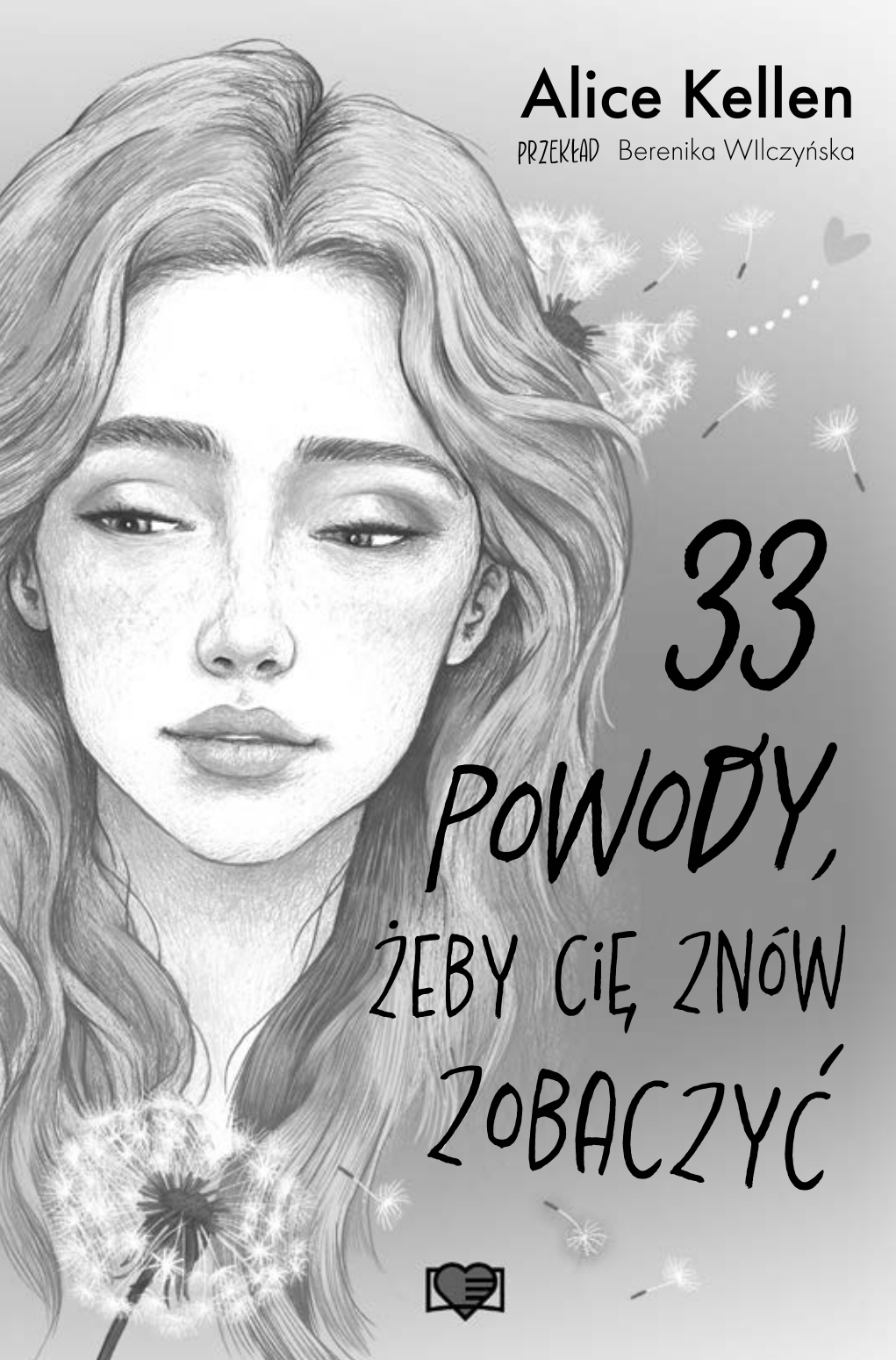

Alice Kellen

PRZEKŁAD Berenika Wlczyńska

33 POWODY, ŻEBY CIĘ ZNÓW ZOBACZYĆ

TYTUŁ ORYGINAŁU:
33 Razones Para Volver A Verte. Volver a Ti #1

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczynie: Maria Mazurowska, Joanna Pawłowska
Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała
Korekta: Beata Wójcik
Projekt okładki: Agata Łuksza
Ilustracja na okładce: © Agata Łuksza
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2016 by Alice Kellen
All Rights Reserved

Copyright © 2025 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint of Wydawnictwo Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Berenika Wilczyńska, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2025
ISBN 978-83-8371-939-9

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl

1

Słychać było tylko delikatny szmer palców uderzających w klawiaturę komputera. Już prawie się ściemniło. Blask księżyca sączył się przez okno w kuchni, nadając pokojowi aurę tajemniczości, której ten w rzeczywistości nie posiadał. Kiedy na stole zawibrował telefon, Rachel podskoczyła.

– Cholera – wymamrotała, podnosząc rękę do piersi, zanim sięgnęła po telefon i odebrała. – Słucham.

– Sam umarł.

Rachel zamarła z urządzeniem przytkniętym do ucha. To była trzecia żona właściciela jej mieszkania, Rita Edwards. Choć Rachel mieszkała w tym miejscu prawie trzy lata, widziała tę kobietę tylko przy kilku okazjach. Była drobna, miała włosy ufarbowane na tak jasny blond, że wydawały się prawie białe, i źle wymawiała głoskę „l", jakby miała na podniebieniu resztki jedzenia i nie potrafiła dobrze poruszać językiem.

– Czy może… czy może pani powtórzyć? – Rachel się zawahała.

Usłyszała, jak Rita głośno wzdycha.

– Mój mąż, Sam Edwards, znalazł się na tamtym świecie. Leży na cmentarzu. Pogrzeb był wczoraj; kupiliśmy białe i różowe piwonie, wszystko wyglądało ślicznie. Szkoda, że tego nie widziałaś – opowiadała Rita, choć z neutralnego tonu jej głosu trudno było wywnioskować, czy mówi o ślubie, czy o pogrzebie.

Rachel zmarszczyła brwi. Było jej przykro z powodu Sama. Ledwie go znała, ale wynajął jej mieszkanie w dobrej cenie, kiedy Rachel postanowiła opuścić zachodnie wybrzeże Waszyngtonu i wrócić do San Francisco. Od czasu do czasu wpadał, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnych usterek, zawsze uśmiechnięty i spokojny, jakby z niczym specjalnie się nie śpieszył.

– Jesteś tam? Rachel?! – krzyknęła Rita.

– Tak, tak, przepraszam. A więc Sam… – Przygryzła policzek. – Naprawdę bardzo mi przykro. To okropna wiadomość.

– Będziesz musiała opuścić mieszkanie, Rachel – oznajmiła kobieta bez ogródek, nie siląc się na subtelności. Mówiła jasno i zwięźle. Od razu przeszła do sedna. – Wiem, że ta wiadomość cię zaskoczyła, ale po śmierci poczciwego Sama potrzebuję gotówki.

– Ale ja zawsze płacę rachunki!

– Wiem, kochanie, ale to mi nie wystarcza – kontynuowała Rita bezlitośnie. – Muszę sprzedać to mieszkanie. Powiedz, jak myślisz, ile dni zajmie ci wyprowadzka? Musimy uzgodnić termin. Tak się robi w tego typu sytuacjach.

– Ja… Nie wiem… – Rachel, wytrącona z równowagi, z ciężkim sercem odgarnęła z twarzy kilka kosmyków opadających jej na twarz. Nie była przygotowana, żeby stawić temu czoła tak nagle, właśnie wtedy, kiedy wreszcie się

wydawało, że osiągnęła jakąś stabilizację. – Ile chce pani za to mieszkanie?

Sam fakt, że zadała takie pytanie, był głupotą. Dużo. Chciała dużo. Rachel nie rozumiała, jak ktoś może zapłacić tyle za parę metrów kwadratowych i cienkie jak papier ściany, mogące uchodzić niemal za relikwie.

Spuściła wzrok na podłogę i utkwiła go w Masełkotku; z tym kotem dzieliła mieszkanie, które wkrótce przestanie nazywać swoim domem. Westchnęła głęboko, a kot zaczął jej się łasić do nóg, żądając więcej jedzenia, mimo zaczynającej się u niego nadwagi.

– Gdyby mogła pani poczekać kilka miesięcy… – Usłyszała swój głos, choć jego ton nie wskazywał na to, żeby była zbytnio przekonana. – Musiałabym to przemyśleć…

Niewiele brakowało Rachel do ukończenia powieści, którą właśnie pisała, i jej wydawczyni zapewniła ją, że załatwi pokaźną zaliczkę, po tym jak pierwsza i druga część sagi wypadły w miarę dobrze. Poza tym miała jakieś oszczędności, choć nie za duże.

Potrzebowała czasu.

Zanim Rachel zdołała cokolwiek dodać, Rita ją uprzedziła i zniweczyła jej nadzieje.

– Przykro mi, Rachel, ale już się z kimś wstępnie dogadałam co do mieszkania. Mam długi, które muszę spłacić, skoro Sama już nie ma, więc na pogrzebie obiecałam dalekim krewnym, że za piętnaście dni mieszkanie będzie wolne, żeby mogli rzucić na nie okiem – wyjaśniła. – Jeśli nie będą zainteresowani, mogę cię poinformować…

– Jasne, rozumiem. Dziękuję, ale nie. – Rachel się wycofała. – Na pewno w najbliższych dniach coś znajdę. Proszę się nie martwić.

– Wiem, że coś znajdziesz.

– Tak. No dobrze, muszę kończyć – wymamrotała z niechęcią, po czym zmusiła się do złagodzenia tonu. – I jeszcze raz: przykro mi z powodu Sama.

Kiedy Rita Edwards się rozłączyła, Rachel rzuciła telefon na półkę w kuchni. Masełkotek podniósł wzrok i spojrzał zaciekawiony tam, skąd dobiegł hałas, a gdy uznał, że nie stało się nic godnego jego uwagi, z całkowitą beztroską wrócił do lizania łapy, nieświadomy nadchodzącej katastrofy, która dotyczyła ich obojga.

– Mamy przechlapane – oznajmiła Rachel, jakby zwierzę mogło ją zrozumieć.

Przez dobrą chwilę gadała coś do siebie, przeklinała i gderała, przemierzając kuchnię w tę i we w tę z dłonią na czole. Kiedy pozbyła się trochę napięcia, zamknęła z trzaskiem okno, wyciągnęła słoik masła orzechowego i wzięła łyżeczkę do kawy. Znów usiadła przy stole, wbiła wzrok w ekran komputera i zaczęła ponownie czytać to, co napisała tego popołudnia, pochłaniając łyżkę za łyżką.

Zaczęła pisać wkrótce po powrocie do Waszyngtonu, gdzie trafiła pod opiekę cioci Glendy, która nadal mieszkała w domu należącym jeszcze do jej dziadków. Nigdy nie wyszła za mąż, chociaż pewnego wieczoru zaczęły się sobie zwierzać i ciocia opowiedziała Rachel, że była zaręczona z przystojnym żołnierzem, który przyrzekł jej, że wróci, ale nigdy tego nie zrobił.

Glenda była pulchną kobietą, która żyła z zasiłku i przez większość czasu oglądała telewizję albo karmiła koty w porcie. Rachel pasowało, że ciotka była małomówna i dawała jej przestrzeń. Jedyną rzeczą, która doprowadzała dziewczynę

do szału, było upodobanie Glendy do ciągłego przeglądania rodzinnych albumów ze zdjęciami. Czuła, jak coś się w niej coraz bardziej rozsypuje, kiedy ciotka pokazywała Rachel fotografie jej rodziców, jeszcze młodych i uśmiechniętych, zdjęcia samej Rachel, kiedy była dzieckiem, albo jej dziadków i kuzynów. Glenda mamrotała wtedy, jacy wszyscy byli piękni i jaki śliczny kolor włosów miała zawsze jej siostra, i jakie to smutne, że tamten pijany kierowca wjechał ciężarówką w jej mały bezbronny samochód, obracając go w kupę złomu.

Wspomnienia, które Rachel zachowała o swojej matce, tak naprawdę były wspomnieniami Robina – szczegóły, przeżycia i chwile, o których opowiadał jej z biegiem lat za każdym razem, gdy o to pytała (czyli ciągle, dopóki nie została nastolatką i nie przestała tego robić, jakby wszystko sprowadziło się do „tu i teraz").

W głębi duszy najbardziej tęskniła za ojcem. Tak bardzo, że wolała to ignorować, udawać, że straciła pamięć i nie pamięta nic, co go dotyczyło, i unikać natykania się na zdjęcia czy szczegóły, które obudziłyby wspomnienia. A były setki, tysiące maleńkich rzeczy, których nigdy wcześniej nie zauważała, a które przywoływały wspomnienia. Na przykład zapach rosołu. Niedokręcona tubka pasty do zębów (Rachel poprosiła Glendę, żeby na to uważała), naleśniki, programy w telewizji z podłożonym śmiechem pełne czarnego humoru, chwile, kiedy leciała jedna z jego ulubionych rockowych piosenek… Z czasem jednak Rachel nauczyła się nie zwracać uwagi na takie rzeczy. Przez kilka miesięcy mieszkała w tamtym zakątku Seattle, nie robiąc nic szczególnego, aż w końcu znalazła pracę na pobliskiej stacji benzynowej na nocną zmianę. Podobało jej się. Rzecz jasna to w niczym

nie przypominało tego, jak wyobrażała sobie swoje życie, ale praca była spokojna i łatwa, a rano klientów było tylu co kot napłakał.

W tych martwych godzinach umilała sobie czas, czytając. Zaczęła od zakurzonych książek, które znalazła w domu ciotki Glendy, a potem czytała te z biblioteki. Czasami, między jedną lekturą a drugą, układała w głowie własne opowieści i szybko zaczęła przelewać je na papier. Jej zapiski zwykle lądowały w koszu albo, pogniecione, gdzieś przepadały, ale pewnego razu jedna z tych opowieści nabrała przed jej oczami tak wyraźnych kształtów, że Rachel zaczęła się w nią zagłębiać, poczuła, jak bohaterowie zaczynają żyć własnym życiem, a fabuła się układa i coraz bardziej rozrasta… Dopóki pewnego dnia zaskoczona Rachel się nie zorientowała, że ukończyła szkic powieści. To był niezbyt dobry zarys, ale pozwolił jej podjąć decyzję, czym chce się zająć.

Na początku wszystko, co pisała, było ponure, pełne bólu i smutku. Przez jej słowa przebijał żal, a w jej stylu nie można było znaleźć ani krzty pozytywów. Przelewała na papier to, czego nie mogła wyrazić w żaden inny sposób. Choć w pewnym sensie nigdy nie pozwoliła tym uczuciom w pełni wypłynąć. Tamte bazgroły zatrzymała dla siebie, podobnie jak ból.

W tych rzadkich chwilach, w których pozwalała sobie na słabość, myślała o Luke'u i Jasonie i zastanawiała się (i próbowała sobie wyobrazić), co właśnie robią; czy są szczęśliwi, czy odnaleźli swoje miejsce w świecie, czy oni także myślą o niej w tym momencie…

Czas leczył rany. Rachel nie wiedziała, jak to się stało, ale była przygotowana, żeby przetrwać wszelkie trudności

i iść dalej. W miarę jak mijały miesiące, lata i różne etapy, te uczucia, które wcześniej zdawały się zalewać wszystko, odsunęły się na bok, w poszukiwaniu miejsca, w którym mogłyby pozostać.

Pisanie przerodziło się w ulubioną rozrywkę Rachel. Właściwie to nie miała nic lepszego do roboty w tym samotnym miasteczku. Dostosowała się do otoczenia i uznała samotność, która charakteryzowała to miejsce, za swoją własną. Dziwnie przyjemna była świadomość, że jej los zależy tylko od niej samej i od nikogo więcej. Często chodziła na długie spacery po okolicy. Zamieszkany rejon miał wydłużony kształt i biegł wzdłuż wybrzeża, jakby wskazywał Pacyfikowi niczym przewodnik, kiedy ma przestać płynąć. Wszystko było porośnięte bujnymi lasami pełnymi buków i jodeł oraz wypełnione wściekłym rykiem fal, który ją uspokajał. Było tak, jakby morze szeptało jej wszystkie swoje sekrety.

Przestała pisać pamiętnik, który do tej pory prowadziła, ale w zamian zaczęła analizować innych, czyli swoich bohaterów. Zwykle robiła to popołudniami, a potem, późnym wieczorem, nanosiła poprawki. Tak bardzo przyzwyczaiła się do takich pór, że wiele lat później dalej stosowała ten sam schemat, choć nie pracowała już na stacji benzynowej ani nie mieszkała w stanie Waszyngton.

Trzy lata temu wróciła do San Francisco. Po tym jak ciocia Glenda trafiła do domu starców z powodu dolegliwości neurodegeneracyjnych, Rachel uświadomiła sobie, że nic jej nie trzyma w tym zimnym, wilgotnym mieście, gdzie zawsze mżyło. Kiedy pomyślała, dokąd mogłaby wyjechać, w jej umyśle pojawiły się jedynie krajobrazy i wspomnienia z tamtego miasta, za którym w jakiś pokręcony sposób

tęskniła. Przypomniała sobie imponujący Golden Gate, kolorowe wiktoriańskie domy i to, jak zabawnie było wmieszać się w tłum turystów w dzielnicy Fisherman's Wharf albo wspiąć się na wzgórza Twin Peaks i cieszyć widokami. Wracały do niej te wieczory, kiedy razem z chłopakami namawiali jej ojca, żeby podrzucił ich do Little Italy, gdzie mogli zjeść najlepszą pizzę na świecie…

Rita Edwards okazała Rachel wątpliwą życzliwość i dała jej pięć dni więcej, więc z piętnastu zrobiło się dwadzieścia. Rachel uznała, że to rozsądny czas na znalezienie przyzwoitego mieszkania na wynajem za kwotę podobną do tej, którą płaciła.

Szybko zrozumiała jednak, że trudno znaleźć coś taniego, co nie będzie miało dachu, który lada moment się zawali. Prawie wszystkie ładne mieszkania, doświetlone i w przyjemnych dzielnicach, przekraczały jej budżet. Poszczęściło jej się, kiedy przed laty spotkała przypadkiem poczciwego Sama, a teraz równowaga we wszechświecie robiła swoje.

Rachel obejrzała nieskończenie wiele mieszkań, które na zdjęciach biur nieruchomości wyglądały na sensowne. Przy jednej takiej okazji prawie ukradli jej torebkę, zanim weszła głównym wejściem do budynku, który agent nieruchomości zamierzał jej pokazać. Innym razem znalazła mieszkanie, które z jakiegoś zagadkowego powodu miało zabite okna. W ostatnich dniach poznała rodzinę dzikich lokatorów, dyskutowała z właścicielami, usiłując negocjować cenę, i musiała pozwolić, żeby jej oczy ujrzały niezliczone dywany pełne żyjątek, tapety, na których widok zapłakałoby Dzieciątko Jezus, i schody w tak złym stanie, że wkrótce zostaną uznane za współwinne morderstwa.

Skupiona na desperackim poszukiwaniu znośnego mieszkania, Rachel ledwie miała czas, żeby odpisać na maile Emmy Sowerd, swojej wydawczyni. Emma znała się na swojej pracy, bo w bardzo krótkim czasie zbudowała małe wydawnictwo i dała Rachel szansę, kiedy ta już na nic nie miała nadziei, więc dziewczyna ją ceniła, ale Emma była specjalistką od gnębienia i dociskania, a to była ostatnia rzecz, jakiej Rachel teraz potrzebowała.

Nadal nie znalazła żadnego mieszkania, a brakowało tylko pięciu dni do terminu, który wyznaczyła jej Rita.

Rachel wyszła, żeby przebiec dużo dłuższy dystans niż zwykle. Biegała kilka razy w tygodniu, lecz nie pamiętała, kiedy ostatnio zrobiła swoją średnią – dziesięć kilometrów, bo jako osoba mająca swoje nawyki pokonywała zawsze tę samą trasę, o tej samej porze i w te same dni. Ale przez te dwa tygodnie po prostu truchtała bez przerwy po stromych ulicach miasta, nie oglądając się za siebie; nie martwiła się, czy się ściemnia ani czy nie oddaliła się za bardzo od domu. Śmierć Sama i wszystko, co ze sobą niosła, przywoływały złe wspomnienia. Sytuacja przypominała to, co Rachel przeżyła już pięć lat temu. Niepewność. Brak stabilizacji. Czuła się tak samo pogubiona wtedy, gdy przyjechała karetka i zespół ratowników pod postacią dwóch kobiet i jednego mężczyzny wpadł do jej domu tylko po to, żeby potwierdzić to, co w głębi duszy już wiedziała: że jej ojciec nie żyje.

Nie mogli nic zrobić. Rachel załamała się do tego stopnia, że musieli zabrać ją do szpitala, gdzie psycholog z ośrodka specjalizującego się w podobnych przypadkach towarzyszył jej przez cały poranek, usiłując sprawić, jak umiał najlepiej, żeby zaakceptowała to, co się stało. Rachel była w szoku. Radzili jej, żeby się otworzyła, żeby płakała i dała upust

emocjom, ale nie była w stanie uronić ani jednej łzy. Tak bardzo ją bolało, że nie umiała tego bólu ukierunkować.

Psycholog, który nazywał się Ian Foster i wyglądał tak, jakby potraktował tę sprawę bardzo osobiście, nie odstąpił Rachel na krok podczas jej pobytu w szpitalu i zadał sobie trud, żeby zadzwonić do zakładu pogrzebowego, ubezpieczyciela i banku. Rachel wiele razy kusiło, aby skontaktować się z Jasonem. Owszem, potrzebowała go, ale inna jej część czuła się tak, jakby nagle została wyrwana ze świata, który do tej pory znała. Jakby zostawiła za sobą dziewczynkę, która żyła w jej wnętrzu, porzuciła ją i samą siebie. W końcu postanowiła, że zachowa w skrzynce odbiorczej wszystkie pełne troski esemesy od Jasona i Luke'a, które przyszły w następnych dniach, i, tak jak poradził jej Ian Foster, wykorzystała resztkę baterii w telefonie, żeby zawiadomić ciocię Glendę o tym, co się stało, i zapytać, czy mogłaby przylecieć najbliższym samolotem do San Francisco.

Godziny poprzedzające pogrzeb Rachel spędziła w pokoju w hotelu, w którym zatrzymała się Glenda. Nie chciała więcej wchodzić do tego miejsca pełnego wspomnień, które było jej domem, więc ciotka Rachel pofatygowała się, żeby przywieźć jej czyste ubrania i pozbierać do kilku walizek papiery i najważniejsze rzeczy. Dziewczyna strawiła resztę dnia, leżąc w łóżku i wpatrując się w biały sufit bezosobowego pokoju; zastanawiała się, dlaczego nie jest w stanie się rozpłakać. W piersi ją paliło, jakby łzy stłoczyły się w jej wnętrzu. Płonęła. To była jej ostatnia myśl, zanim weszła pod prysznic i pozwoliła, aby gorąca woda porwała ze sobą smutek. Kiedy wyszła spod prysznica, włożyła dżinsy i koszulkę jednego z ulubionych zespołów ojca, którą jej podarował; wzięła kasetę, którą ciocia Glenda przyniosła z domu

na jej prośbę, i ruszyły w kierunku cmentarza, gdzie miał się odbyć pogrzeb.

Ostatnią rzeczą, jaką zrobiła Rachel przed wyjazdem do Seattle, było pójście do banku i podpisanie jakichś papierów. Miała świadomość sytuacji: ponieważ nie mogła spłacać domu, na który był zaciągnięty kredyt, musieli jej go zabrać w zamian za anulowanie długu. Rachel zgodziła się na ich propozycję. Ubrany w garnitur mężczyzna z banku cały czas okazywał jej współczucie, przypomniał Rachel, że jej ojciec zostawił na koncie oszczędności, i wyjaśnił, jak może uzyskać do nich dostęp. Poza tym pomógł jej wyszukać schowek w przystępnej cenie, który należał do tej samej firmy co bank, żeby mogła przechować w nim część swoich rzeczy. Kiedy dopięli wszystkich formalności, mężczyzna podrapał się w podbródek z zamyśloną miną i zapytał Rachel, co zamierza zrobić.

– Nie wiem. – Dziewczyna spojrzała na niego, siedząc na wygodnym krześle. Budynek banku, pomalowany na oliwkową zieleń, pachniał środkiem dezynfekującym i chemią do czyszczenia. – Muszę… muszę przeorganizować swoje życie.

– Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Bardzo mi przykro z powodu twojej straty. Martwił się o twoją przyszłość. Dwa razy zmieniał program oszczędnościowy, żeby go ulepszyć, i zawsze wspominał o tobie, i brał pod uwagę moje rady. Nie ma tu zbyt wiele pieniędzy, bo zostały wpłacone na dłuższy okres, ale wystarczą ci, żeby utrzymać schowek i pokryć jakieś dodatkowe koszty. – Mężczyzna popatrzył na Rachel z dozą bezsilności. – Nie masz żadnych krewnych?

– Mam. Moja mama ma siostrę, nazywa się Glenda Collins. Została w hotelu, żeby zorganizować podróż powrotną.

Mieszka w małym miasteczku w stanie Waszyngton, w pobliżu Seattle; pojadę z nią.

Rachel zastanowiła się, czy ma jeszcze kogoś bliskiego.

Przypomniała sobie Jasona i jego ciepłe spojrzenie oraz Luke'a i jego żarty oraz uśmiechy… no i wreszcie Mike'a. Zamrugała szybko, gdy poczuła, że szczypią ją oczy, jakby wreszcie zareagowały, kiedy te ponure dni minęły. Pokręciła głową.

Nie, nie miała nikogo więcej. Była sama.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ

Papierowe Serca

Wydawnictwo Papierowe Serca
wydawnictwopapieroweserca
papieroweserca
papierowe_serca